

Dookoła rozciągał się stary las, a szemrzająca cicho rzeka zwięzła się. Tu i ówdzie barwami mieniły się chabry, kaskade, merzyki, żagwiny i hiacynty. W zakątkach krzewy bladoliliowego bzu i śnieżnobiałej czeremchy tworzyły klomby. Stado dzikich kóz wyrzało na polankę i pierzchnęło. Tuż za nimi, położywszy uszy, tchórzliwie skoczył parę razy zajęć i przycupnął.

Dojeżdżając, siwy podróżny zwolnił koniowi biegu. Wokół nie było żywej duszy. Mężczyzna wahał się, nie miał na sobie nic oprócz odzieży z grubego, czerwonego płótna. Nad niedużymi oczyma sterczały najeżone brwi. Na ogół nie za długo zastanawiał się, w którą stronę podążać, ale tym razem było inaczej.

Choć żar nie lał się z nieba, jemu było gorąco. Przecież przyrzekł solennie, że dotrze, a zawiódł. Dawno już było po świętach Bożego Narodzenia. Wiosna objęła całą ziemię w posiadanie. Dedukował: „Gdyby nie grabież Zosinej listy z prezentami, nie musiałbym wojażować za granicą. Wyjazd i nad Ocean Atlantycki, i Wyspy Owcze nie wchodziłby w ogóle w grę. Jednak udziału w wieczorku szopenowskim nie żałuję. Nawet wkrótce po nim kilka z wiekopomnych dzieł udało mi się zagrać. Były to „Polonez cis-moll” i „Preludium As-dur”. Muszę to wszystko opisać, mimo że wątpię, czy mi ktoś uwierzy”.

Zbliżała się godzina wpół do drugiej. Niezrażony porażkami mężczyzna w okamgnieniu podjął decyzję, chcąc zrehabilitować się w oczach oczekujących nań dzieci. Huknąwszy szerniałymi od pracy rękami, żwawo ruszył na wiernym wążu w kierunku nieziszczzonego marzenia o punktualnych mikołajkach.